

Maciej Figas - muzyką jestem „skażony genetycznie”

Dlaczego Maciej Figas nie ukończył Wydziału Wokalno – Aktorskiego Gdańskiej Akademii Muzycznej i nie został np. śpiewającym aktorem?

Przyczyny były różne. Zacznę od formalnych. Kiedy dostałem się na dyrygenturę w Poznańskiej Akademii Muzycznej, o której marzyłem od dawna, chciałem kontynuować rozpoczęte w Gdańsku studia wokalne i wystąpiłem z prośbą o ich kontynuowanie, ale w uczelni poznańskiej. Ale jej władze nie zgodziły się. Może gdybym nalegał, znalazłoby się jakieś kompromisowe rozwiązanie, jednak nie zrobiłem tego. Kolejna przyczyna tkwiła we mnie. Po dwóch latach studiowania na wydziale wokalnym i przede wszystkim wychowaniu w domu, gdzie śpiew był codziennością, bo zawodowo śpiewał tata, wiedziałem, co to za chleb, znałem



blaski i cienie tego zawodu. Chciałem jednak spróbować, a przynajmniej zdobyć wiedzę, która pomogłaby mi w mojej przyszłej działalności. Oczywiście nie miałem wtedy pełnej świadomości, w jak dużym stopniu przyda mi się ta wiedza.

O wyborze zawodu zdecydowały więc tradycje rodzinne.

Zawsze mówię, że muzyką jestem „skażony genetycznie”. Mama całe życie uczyła w szkole muzycznej I stopnia. Tata śpiewał w operze, ciocia, jego siostra również. Wyrastałem w atmosferze umiłowania muzyki. Należy pamiętać także, że były to czasy, kiedy dzieci nie miały takiej jak dziś swobody w wyborze szkoły i zawodu. Rodzice uznali, że to dobry kierunek, byłem uzdolniony muzycznie, więc decyzja była oczywista. Zostałem „skazany” na muzykę. Ale jestem rodzicom za takie pokierowanie moim życie bardzo wdzięczny. Na marginesie dodam, że szkoła muzyczna stwarza niepowtarzalne warunki dla rozwoju dziecka. Mój syn też skończył taką szkołę i bardzo się z tego cieszę. Co robi dalej ? - to już jego decyzja.

Mógłby Pan również uczyć wychowania muzycznego (dawniej takiego przedmiotu uczono w szkołach), bo ukończył Pan odpowiedni wydział na gdańskiej akademii. Czy przeprowadził Pan kiedyś chociaż jedną lekcję rytmiki lub śpiewu?



Wydział nazywał się wprawdzie Wychowania Muzycznego i Rytmiki, ale skończyłem na nim kierunek instruktorski, co oznacza, że mógłbym zostać np. dyrygentem chóru. Zresztą wszystkie moje lata studiów to śpiewanie w chórach w Trójmieście i Poznaniu. Były to wspaniałe lata. Pozostały mi niesamowite wspomnienia z podróży po całej Europie i to w czasach, kiedy wyjazd za granicę był niezwykle trudnym. Jeśli miałbym więc wrócić do wyuczonego w Gdańsku zawodu, to nie do szkoły, lecz do jakiegoś zespołu chóralnego.

Ostatecznie dyrygentura na Akademii Muzycznej w Poznaniu i początki pracy zawodowej. Został Pan asystentem dyrygenta w Operze Nova w Bydgoszczy. Wybrał Pan dyrygenturę. Dlaczego?

Dyrygentura od zawsze była moim marzeniem. Już od dziecka podglądałem dyrygentów podczas pracy. Pamiętam też jak tata usiłował dyrygować słuchając w domu różnych nagrań. Moje ręce rwały się wtedy do naśladowania i.... próbowałem. To fascynujący zawód, o którym marzy wielu artystów. Przyznają, że jakaś niezrozumiała siła popycha ich w kierunku tego zawodu.

Trzy lata po studiach został Pan dyrektorem artystycznym w bydgoskiej Operze, a po czterech latach awansował Pan na dyrektora Opery Nova. Jak to się stało, że tak młody, niedoświadczony jeszcze człowiek zdobywa tak odpowiedzialne stanowisko?



Opera Nova w trakcie budowy

© J. Mularzowski

To temat na bardzo długą rozmowę. Pani zamknęła ten etap mojego życia w dwóch zdaniach, a to niezwykle obszerna historia, w której pełno różnych zbiegów okoliczności i dramatycznych momentów. Pamiętam, jak będąc już dyrektorem artystycznym dowiedziałem się, że na biurku wojewody leży wniosek o odwołanie mnie ze stanowiska. Ale miałem wokół siebie wielu życzliwych ludzi, którzy mi zaufali i pomogli.

Ale potrzebna była też czyjaś odwaga do podjęcia tak ryzykownej decyzji personalnej.

Ma pani rację. Przez wiele lat byłem najmłodszym dyrektorem teatru operowego w Polsce. Na pewno *va banque* zagrała nieżyjąca już dyrektor Wydziału Kultury Urzędu Wojewódzkiego w Bydgoszczy - Elżbieta Czerska. To ona powierzyła mi obowiązki dyrektora Opery Nova. Wcześniej wygrałem konkurs na dyrektora artystycznego i przeżyłem miesiące różnie układającej się współpracy z dyrektorem naczelnym. Dziś, po latach doświadczeń, jestem zwolennikiem łączenia obu funkcji. Harmonijna współpraca dwóch różnych osobowości na tych stanowiskach jest bardzo trudna. Udaje się to oczywiście, ale jest raczej rzadkością. Chciałbym jednak dodać, że umiejętność administrowania teatrem operowym oparłem na podyplomowych studiach menadżerskich.

Po 17 latach pełnienia funkcji dyrektora na pewno potrafi Pan podać cechy, którymi



Widownia w czasie I Festiwalu Operowego

© J. Mullerowski

powinien charakteryzować się dobry dyrektor instytucji kulturalnej w dzisiejszych czasach.

Nie ma jedynej właściwej recepty na prowadzenie takiej instytucji. Znam dyrektorów, którzy rządzą latami, mówiąc wprost - „zamordyzmem”. Ja chyba tak nie potrafię. Preferuję inny styl pracy. Ktoś kiedyś określił go jako rodzinny i chyba coś w tym jest. Udało mi się dobrać zespół ludzi, którzy zwyczajnie lubią ze sobą pracować. Dotyczy to nie tylko artystów, ale także administracji i zespołu technicznego. Kierownictwo Opery współpracuje ze sobą w sposób partnerski, bez zawiści, chorej rywalizacji i innych utrudniających i uprzykrzających zachowań. Jednak przede wszystkim są to ludzie, którzy lubią swoją pracę. Myślę, że umiejętność stworzenia właściwego zespołu pracowników to bardzo ważna cecha dyrektora. Na marginesie pochwalę się, że tej rodzinnej atmosfery zazdroszczą nam w innych teatrach operowych.

Nie jest Pan więc dyktatorem.

Trochę jestem. Czasami trzeba podejmować trudne decyzje jednoosobowo z pełną świadomością całkowitej odpowiedzialności za konsekwencje. Najlepiej jednak wypośrodkować sposób dyrektorowania, być zdolnym do kompromisów, ale kompetentnym. To bardzo ważne.

Nie żałuje Pan, że wybrał dyrektorowanie, które oznacza jednak rezygnację z prawdziwej kariery artystycznej?



Foyer w czasie I Festiwalu Operowego

© J. Wollarszewski

Rzeczywiście tak jest. Pełnienie funkcji dyrektora oznacza rezygnację z wielu ambitnych planów artystycznych. Żaden zespół operowy nie będzie tolerował dyrektora, którego zwyczajnie często nie ma w pracy. Poza tym wiele sal koncertowych i teatrów operowych w naturalny sposób zamyka się przed dyrygującym dyrektorem, bo... stanowi on potencjalne zagrożenie, taki swoisty kontrwywiad. Brzmi to trochę śmiesznie, ale zapewniam, że takie zjawisko istnieje. Ma pani rację, że wybierając rolę dyrektora pozbawiłem się szansy spełnienia na wielu artystycznych polach. Jednak, jak Pani wie, bardzo rzadko udaje się zrealizować marzenia nie ponosząc kosztów. Z drugiej strony, uniknąłem życia na walizkach, a mój syn ma mnie na każde zawołanie.

Odniósł Pan jednak sukces, może nie sensu stricte artystyczny, ale sukces jako dyrektor. To też się przecież liczy.

17 lat na stanowisku dyrektora Opery to rzeczywiście niezły wynik. Nie chciałbym jednak, aby czytelnik odniósł wrażenie, że jestem sfrustrowanym, niespełnionym artystą. Jako dyrygent mogę się pochwalić recenzjami, także zagranicznymi, które bardzo podbudowują moje artystyczne ego. Być może nadejdzie taki moment, że wrócę w stu procentach do dyrygowania. Czas pokaże.

Jako dyrygent współpracuje Pan z Teatrem Wielkim w Poznaniu, Operą Bałtycką w



Maciej Figas z Janem Kobuszewskim

© J. Multarzyński

Gdańsku, prowadzi orkiestrę w swojej operze. Często Pan dyryguje. Czy lubi Pan to robić?

Bardzo. Kiedy staję przed orkiestrą odczuwam niesamowitą wewnętrzną radość. Brzmi to trywialnie, ale znam dyrygentów, którzy z powodu stresu przeżywają w tym momencie katusze...

Jakie uczucia towarzyszą Panu kiedy staje Pan przed orkiestrą, podnosi ręce, by za chwilę magicznym ruchem obudzić muzykę?

Te uczucia zależą od wielu czynników. To, co powiedziałem przed chwilą wcale nie oznacza, że jestem wolny od stresu. Szczególnie daje on o sobie znać w wieczór premierowy, którym rządzą zupełnie inne prawa niż normalnym spektaklem. Można być spokojnym na dziesięć minut przed rozpoczęciem, ale adrenalina daje o sobie znać i wtedy np. narzucam nie takie tempo, jakie zamierzałem. Co więcej zdaję sobie z tego sprawę dopiero, kiedy słucham nagrania. A trzeba mieć świadomość, że stres dyrygenta przenosi się natychmiast na orkiestrę i czasami mogą być tego przykre konsekwencje.

Mickiewiczowski Konrad wyciągał dłonie i wolnym ruchem kręcił gwiazdy, odejmując je wstrzymywał harmoniki kregi. Czy dyrygent ma świadomość takiej konradowskiej mocy?

Myślę, że ma. Ale ta moc jest wypadkową różnych elementów i wpływa na nią wiele





Maciej Figas
z symbolicznym kluczem do Opery Nova

czynników, np. reakcje publiczności, nastroj w zespole, a nawet pogoda. Są spektakle i koncerty, kiedy od pierwszych minut czuje się taką niezwykłą ogromną energię. A czasami są dni, że choćbym stanął na głowie, to trudno tę energię wykrzesać. Na przykład kiedy publiczność jest bierna, na scenie i w orkiestrionie pojawia się rodzaj niepokoju, natomiast gdy widzowie reagują na muzykę lub akcję sceniczną, rodzi się wyjątkowa więź oparta na interakcji. To, o czym mówimy mogłoby być tematem co najmniej pracy doktorskiej, dlatego trudno odpowiedzieć krótko na pani pytanie.

Czy miał Pan swojego mistrza, ideał dyrygenta, któremu chciałby Pan dorównać?

Mam kilku. Na dźwięk ich nazwisk natychmiast interesuję się nagraniem czy wykonaniem. Nie muszę być pasjonatem ich sztuki manualnej, ale jestem pod wrażeniem ich interpretacji. Taką magiczną postacią w naszym środowisku jest Carlos Kleiber. To postać kontrowersyjna, ale bezdyskusyjny mistrz. Jego interpretacje dzieł operowych i operetkowych przejdą do historii muzyki jako genialne i wzorcowe. Kiedy ich słucham mam wrażenie, że nie można już w nich

nic poprawić. Słuchanie później innych interpretacji staje się często męką! I to nawet, gdy stoją za nimi wielkie nazwiska.

Pytałam o cechy niezbędne dla dobrego dyrektora. Teraz pytam o to, czym powinien



Uroczyste przecięcie wstęgi podczas otwarcia Opery Nova

charakteryzować się dobry dyrygent, oczywiście oprócz tego, że musi być muzykalny, mieć poczucie rytmu, wyobraźnię muzyczną, temperament i silną osobowość?

Wymieniłbym elastyczność. Dyrygent powinien umieć dostosować metody swojej pracy do zespołu. Czasami od pierwszej próby konieczne są daleko idące kompromisy, które burzą to, co sobie wcześniej w wyobraźni zbudowaliśmy. Bardzo ważna jest też umiejętność rozładowywania napięć w zespole. To przecież zespół złożony z wykształconych, wrażliwych, ale często nie wolnych od egotyzmu i codziennych problemów muzyków. Dyrygent jest dla nich najczęściej tym, który stoi po drugiej stronie barykady. Z drugiej strony budowanie czegoś na fundamencie wrogości jest często trudne i raczej sprawdza się jedynie na krótkim dystansie.

Od 1994 roku z Pana inicjatywy odbywa się w Bydgoszczy Festiwal Operowy. Udało się Panu powołać do życia największy polski przegląd sztuki operowej i baletowej, który jest corocznie bardzo ważnym wydarzeniem. Co uważa Pan za największy sukces tego festiwalu i

które wydarzenie artystyczne było dla Pana najważniejsze?

Najważniejsze było to, że dzięki niemu udało się ukończyć budowany przez ponad 30 lat gmach opery. Dziś już mało kto pamięta, że taki był pierwotny cel festiwalu. Dodam, że



Maciej Figas podczas otwarcia Opery Nova

© J. Mularowski

wielu wątpiło, iż tej wielkości instytucja jest w Bydgoszczy potrzebna. Dziś wydaje się, że Opera Nova po prostu musiała powstać. Festiwal tymczasem stał się imprezą czysto artystyczną, która rozwija się i ma przed sobą moim zdaniem wielką przyszłość. Największe wydarzenie artystyczne festiwalu? Takich wywołujących mrowienie na plecach momentów było wiele. Na pewno premiera *Toski* Pucciniego z udziałem koreańskiego solisty Ko Seng Hyouna - którego zaprosiliśmy trochę wbrew woli reżysera - Laco Adamika, który nie wierzył że artysta zaśpiewa tę premierę zaledwie po kilku próbach. Tymczasem przyjechał solista, który nie tylko zachwycił wszystkich głosem, ale przede wszystkim stworzył taką kreację sceniczną, jakby uczestniczył w całym cyklu przygotowań. Wyczuł to natychmiast zespół i wyczuła publiczność, a atmosferę tego wieczoru wszyscy do dziś wspominamy. Zaś Laco Adamik po premierze przyznał, że w najmniejszym stopniu nie żałuje decyzji o zaproszeniu koreańskiego artysty.

*Kolejnym wspaniałym pomysłem było wystawianie w Toruniu pod gołym niebem, w fosie zamku krzyżackiego spektaklu operowego. Od trzech lat to niezwykle przedsięwzięcie przyciąga tłumy widzów. Najpierw był *Trubadur*, rok temu *Carmen*, teraz *Nabucco*. Widziałam waszą i inscenizację Verdiego w *Operze Nova* i tę plenerową w Toruniu. Oczywiście te inscenizacje muszą się różnić. Co stanowi największą trudność w przygotowaniu plenerowego spektaklu?*

Pomysł oczywiście nie był nasz! Dostaliśmy zaproszenie z toruńskiego Ratusza i je z



radością przyjęliśmy! Było to wyzwanie, ale mieliśmy już w tej mierze wcześniejsze doświadczenia. Wielokrotnie występowaliśmy w plenerze w Niemczech i Luxemburgu. Prezentowaliśmy duże i skromniejsze inscenizacje. Te doświadczenia procentują w Toruniu. Jest jednak pewna zasadnicza różnica w przygotowywaniu obecnie takich spektakli w porównaniu z wcześniejszymi zagranicznymi występami. Wtedy z zazdrością przyglądaliśmy się europejskiemu zapleczu technicznemu, a w tej chwili sami takim zapleczem dysponujemy. Mam pracowników, sprzęt, albo przynajmniej możliwość jego wypożyczenia, dlatego trudności techniczne związane z realizacją przedstawienia w plenerze są do opanowania.

Czy wiadomo co zobaczymy w Toruniu za rok?

To pytanie nie do mnie. Jeśli otrzymamy zaproszenie, na pewno przyjedziemy z kolejną operą.

Spotykamy się przed kończącym festiwal „Europa - Toruń. Muzyka i architektura” koncertem, na którym będzie Pan dyrygował TOS, a zaśpiewają na nim artyści Opery Nova. To wspaniały przykład współpracy obu miast, którym przypisuje się ciągłą rywalizację i niezdrową konkurencję. Czy w dziedzinie kultury te, tak silne np. w sporcie animozje są odczuwalne?



Ukłony po Tosce

© J. Mularzowski



Turandot

© J. Mularzowski

Skłamałbym, gdybym powiedział, że ich nie ma. Śmieszy mnie również to, że uważa się je za coś niezwykłego. Takie same napięcia pojawiają się od lat między np. Gdańskiem a Gdynią, Warszawą a Krakowem, Zieloną Górą a Gorzowem. Ubolewam natomiast nad tym, że ciągle trafiają się osobowości, które w sposób bardziej lub mniej skuteczny podsycają te animozje. Mam tu na myśli np. urzędników. Wśród muzyków tego nie dostrzegam.

Takie wspólne toruńsko-bydgoskie artystyczne wydarzenia zapewne pomagają miastu Kopernika w walce o tytuł ESK w 2016 roku. Chciałby Pan żeby Toruń i Pampeluna zwyciężyły w tej rywalizacji ?

Oczywiście, że tak! Bydgoszcz by na pewno na tym nie straciła i byłaby to wspaniała sprawa dla obu miast! Oczywiście pod warunkiem, że osoby, o których mówiłem wcześniej nie wykorzystają tej walki tak, aby Bydgoszcz zdeprecjonować.

Czy powstanie w Toruniu sali koncertowej z prawdziwego zdarzenia, ma to nastąpić za trzy lata, w jakiś sposób wpłynie na funkcjonowanie Opery Nova?

To zależy jak do tego podejździe kierownictwo nowej placówki. Odległość między naszymi miastami jest właściwie żadna, świadczą o tym systematycznie i bardzo licznie przyjeżdżający



do nas melomani z Torunia. Trzeba pamiętać o tym, że spektakl wywieziony poza siedzibę nie jest nigdy tak atrakcyjny jak w macierzystym teatrze. Dlatego jestem przekonany, że zainteresowanie torunian spektaklami w Operze Nova się nie zmieni. Jestem trochę zdziwiony tym, że na etapie konkursu i wyłaniania projektantów nowej sali w Toruniu nikt nie sięgnął po nasze doświadczenia. Budowaliśmy operę wiele lat, popełniliśmy błędy, ale na szczęście mieliśmy czas je naprawiać. Dzięki temu powstał najlepszy akustycznie i jeden z najlepszych technicznie obiektów operowych w Polsce. Myślę więc, że warto było skorzystać z naszych doświadczeń. Wracając do pani pytania, nie boję się utraty widzów. Mam natomiast nadzieję na zbudowanie nowej jakościowo współpracy.

Żyjemy w czasach pop kultury, sztuce wysokiej - uznanej za elitarną trudno rywalizować o odbiorcę z medialnymi pop hitami. Jak w dzisiejszych czasach przyciągnąć do opery widza? Bydgoska opera to potrafi, bo w zeszłym roku pod względem frekwencji była czwartą instytucją tego typu w Polsce.

To skomplikowany problem. Na początku swojej działalności byłem często krytykowany za to, że udostępniam scenę operową gatunkom lżejszym: operetce i musicalowi. Dziś chyba

nikt nie wątpi, że była to właściwa polityka repertuarowa. Żeby kogoś do opery przyciągnąć



nie można mu zaproponować na początek dzieł Wagnera, albo serwować *Halkę*, w której parę głównych wykonawców, młodych górali, wykonują artyści delikatnie mówiąc dojrzały lub o tuszy wykluczającej bieganie po górach. Trzeba sięgać po takie spektakle, które zainteresują także nową widownię. Stąd nie tylko operetka, ale także musical i np. koncerty sylwestrowe. Zachęcona nimi publiczność przychodzi na spektakle operowe i to jest sukces. Coraz większym problemem jest przyciągnięcie młodego widza. Niestety, to efekt naszej edukacji muzycznej, a właściwie jej braku.

Opera Nova prezentuje swoje spektakle na festiwalach w Polsce i zagranicą. Zespół wyjeżdża na liczne tournée po całej Europie. Aby być zapraszonym trzeba utrzymać wysoki poziom artystyczny, co jest efektem przyciągnięcia wybitnych artystów. Powszechnie wiadomo, że mamy w Polsce bardzo zdolnych, świetnie wykształconych śpiewaków, ale wyjeżdżają oni z kraju i robią karierę na całym świecie. Jakie podejmować działania, żeby zostawali w Polsce, przecież na ich decyzje o wyjeździe wpływ mają nie tylko kwestie finansowe?

Poruszyła pani w tym pytaniu dwa tematy. O jakości przedstawienia decydują nie tylko soliści, chociaż nie ukrywam, że są oni twarzą spektaklu. Jeśli się nie sprawdzają, to nie pomoże najlepszy chór, orkiestra czy scenografia. Jednak zaproszenie wybitnych, sławnych solistów



Opera Nova obecnie

© J. Wollarski



Maciej Figas

© J. Mularzyński

to dzisiaj niemal wyłącznie kwestia pieniędzy. Tymczasem stworzenie odpowiedniej klasy zespołów - chóru, orkiestry, baletu - jest rzeczą znacznie bardziej skomplikowaną. I nie pomoże nawet najlepsze nazwisko solisty, jeśli w tle usłyszymy rozwibrowany, fałszujący chór, czy nie strojącą orkiestrę. Dlatego tak wielką wagę przykładam do pracy z zespołami. Na drugą część pytania odpowiedź jest prosta: dopóki warunki finansowe oferowane przez zagraniczne teatry operowe wielokrotnie przewyższają te oferowane przez nas, dopóty to zjawisko będzie trwało. Podobnie jak w świecie piłkarskim. Dopiero na dalszym planie liczy się prestiż teatru, publiczność etc. Nam pozostaje natomiast satysfakcja, że publiczność Opery Nova mogła i nadal może podziwiać artystów, którzy swą karierę rozpoczynali na naszej scenie, a dziś zapraszani są przez najlepsze europejskie sceny.

Przed nami kolejny sezon w Operze Nova. Jaki nowy repertuar pojawi się na afiszu, czy publiczność może liczyć na jakieś niespodzianki?

Powiem tylko o repertuarze do końca roku, bo program kolejnego sezonu właśnie zamykamy. Zaczynamy sezon 10 września spektaklami *Napój miłosny* G. Donizettiego, naszej ostatniej premiery. Zaś 7 listopada zapraszam na premierę baletu S. Prokofiewa *Kopciuszek*. Wspomnę jeszcze o arcypopularnych koncertach sylwestrowo-noworocznych

To plany Pana jako dyrektora Opery Nova, a ja chciałabym jeszcze zapytać o dyrygenckie marzenie. Jaką orkiestrą chciałby Pan dyrygować lub jakie dzieło poprowadzić?

Nic prostszego jak wymienić teraz kilka najwspanialszych oper i najznakomitszych orkiestr. Marzenie o współpracy z doskonałymi zespołami będzie towarzyszyć dyrygentowi zawsze. Ale wiele moich marzeń się spełniło. Nigdy nie przypuszczałem, że poprowadzę *Turandot* Pucciniego. A jednak tak się stało. Dam szansę marzeniom na spełnianie się, ale niech pozostaną tajemnicą.

Kończy się pora urlopów. Bezludnych wysp już prawie nie ma, ale gdyby znalazł się Pan na takiej wyspie i byłby tam odtwarzacz płyt, jakiej muzyki by Pan słuchał?

Niekoniecznie byłaby to muzyka poważna. Może słuchałbym wspaniale zaaranżowanych piosenek Joni Mitchell z płyty „Both Sides Now” na której śpiewa z towarzyszeniem orkiestry symfonicznej? A wykonuje je tak, że ciarki chodzą po plecach.

A czy w takim razie mógłby Pan żyć bez muzyki?

Przez jakiś czas tak. Po całym sezonie łapię się na tym, że z przyjemnością „łykam” ciszę. To jednak stan przejściowy, pragnienie ciszy zamienia się w głód muzyki. Nie potrafię zdefiniować czym ona dla mnie jest, nawet nie chcę tego robić, bo po co? Wiem tylko, że dzięki muzyce życie toczy się inaczej, ludzie stają się lepsi, a świat na pewno piękniejszy.



© Gabriela Ulanowska
gma.art@onet.eu